Gdybyś kogoś zabił,
pamiętałbyś o tym.
Prawda?

PETER MAY

NA SZLAKU TRUMIEN

ROZDZIAŁ 1

Pierwsze, co czuję, to słoność. Mam usta pełne soli, jej posmak jest agresywny i przemożny. Dominuje nad wszystkim innym, ale tylko do chwili, gdy wstrząsa mną zimno, które obejmuje mnie całego swymi lodowatymi szponami. Tak mocno, że nie jestem w stanie się poruszyć. Nie licząc dygotania, niemożliwego do opanowania i szarpiącego całe ciało. I gdzieś w podświadomości czuję, że to dla mnie dobrze. Moje ciało próbuje wygenerować odrobinę ciepła. Gdybym nie dygotał, pewnie już bym nie żył.

Mija cała wieczność, zanim jestem w stanie otworzyć oczy. W końcu mi się to udaje i oślepia mnie światło. Ostry ból przeszywa mi czaszkę, źrenice gwałtownie się kurczą, starając się wyostrzyć obraz otaczającego mnie świata. Leżę twarzą w dół, usta i nozdrza mam oblepione mokrym piaskiem i gwałtownie mrugam, by spłukać oczy łzami. Aż w końcu widzę. Ciągnący się po zamglony horyzont piasek. Gęsto karbowany. Platynowo blady. Jakby sztucznie wybielony.

Dopiero teraz czuję wiatr, który szarpie mi ubranie i wypełnia powietrze miliardami ziarenek piasku, przeganiając je po plaży niczym tumany mgły.

Próbuję podnieść się na kolana – bardziej odruchowo niż w wyniku świadomej decyzji – i odnoszę wrażenie, że jestem pozbawiony czucia w kończynach. I niemal od razu mój żołądek wyrzuca zawartość na piach. Czuję w gardle i ustach gryzący gorzko-słony smak wody morskiej, która wytryskuje z moich trzewi. Zwieszam głowę między drżącymi z wysiłku rękami i dostrzegam na sobie jaskrawopomarańczową kamizelkę ratunkową, która zapewne uratowała mi życie.

I wtedy po raz pierwszy słyszę morze, którego szum przebija się przez świst wiatru i łoskot w mojej głowie. Nieznośny jednostajny hurgot, który niemal zagłusza wszystko inne.

Nie wiadomo jakim cudem, ale udaje mi się dźwignąć i stanąć na nogach jak z waty. Mam na sobie dżinsy, na stopach trampki, pod kamizelką nasiąknięty wodą sweter, który ciąży, jakby był z kamienia. Czuję drżenie w płucach i próbuję wyrównać oddech. W oddali ciągnie się pasmo wzgórz, za fioletowobrunatnymi wydmami przy końcu plaży widać szare formacje skalne, tylko gdzieniegdzie przykryte cienką warstewką torfiastej ziemi.

Za moimi plecami płytkie, zielonkawoniebieskie morze odsłania połacie piachu, które ciągną się ku dalekim górom, rysującym się na tle szarego nieba. Zza chmur wystrzeliwują pojedyncze wiązki promieni słońca i kładą się jasnymi plamami na falach oceanu i zboczach wzgórz. Przebłyski błękitu tak zaskakują, że wydają się nierealne.

Nie mam pojęcia, gdzie jestem. I jednocześnie po raz pierwszy od odzyskania przytomności z przerażeniem konstatuję, że nie wiem też, kim jestem.

Świadomość tego chwyta mnie za gardło i odsuwa wszystko inne na dalszy plan. Zimno, słoność w ustach, palenie w przewodzie pokarmowym. No bo jak mogę nie wiedzieć,

kim jestem? Zapewne to tylko chwilowe zaćmienie umysłu. Ale im dłużej stoję, słuchając świstu wiatru, dygocząc z zimna i czując ogarniające mnie odrętwienie i konsternację, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że zmysłem, który we mnie nie funkcjonuje, jest zmysł poczucia samego siebie. Jakbym przebywał w obcym ciele, które wypłynęło na nieznane wody ślepej nieświadomości.

I zaraz potem spływa na mnie ciemna chmura przygnębienia. Nie kojarzy się ono z jakimś konkretnym wspomnieniem. To przeczucie czegoś tak strasznego, że nie chcę o tym pamiętać, nawet gdybym mógł. Czuję ogarniający mnie… co? Strach? Poczucie winy? Siłą woli próbuję się z tego otrząsnąć.

Na lewo ode mnie, tuż przy linii wody, jest chata. Po zboczu wznoszącego się za nią wzgórza spływa aż brązowy od torfu strumień, żłobiąc krętą ścieżkę w piaszczystym podłożu. Na równo przystrzyżonym trawniku za murem z drutem kolczastym widać kamienne płyty nagrobne, rozrzucone w pozornym nieładzie. Duchy z minionych wieków obserwują w milczeniu, jak zapadając się niemal po kostki, zaczynam brnąć przez sypki piasek. Po prawej na odległym brzegu, widzę przyczepę kempingową i stojącą obok niej sylwetkę, rozmytą w promieniach słońca wyzierających zza grzbietów wzgórz. Jest zbyt daleko, bym mógł rozpoznać płeć lub rozróżnić jakieś cechy szczególne, dostrzegam jednak, że postać unosi ręce do twarzy. Uświadamiam sobie, że obserwuje mnie przez przytkniętą do oczu lornetkę. Przez chwilę zmagam się z chęcią wołania o pomoc, szybko jednak uznaję, że gdybym nawet miał na tyle siły, by to zrobić, mój głos i tak utonie w szumie wiatru.

Odwracam wzrok i skupiam uwagę na ścieżce, która wije się między wydmami i prowadzi do wąskiej drogi ciągnącej się wzdłuż brzegu i niknącej za wzgórzem.

Z determinacją brnę przez piach, omijając kępy porastającej wydmy ostrej trawy morskiej, i docieram do ścieżki. Jestem teraz nieco osłonięty przed nieustannie wiejącym wiatrem, unoszę głowę i widzę idącą drogą kobietę.

Jest w podeszłym wieku; zmierzwione wiatrem siwe włosy okalają jej kościstą twarz o ostrych rysach, obciągniętą połyskliwą cienką skórą. Ma na sobie kurtkę z opuszczonym kapturem i czarne spodnie z nogawkami ściągniętymi nad różowymi trampkami. Przy jej nogach plącze się nieduży piesek, poszczekując i z trudem dotrzymując jej kroku.

Na mój widok kobieta się zatrzymuje i dostrzegam na jej twarzy wyraz zaskoczenia, ja zaś panikuję, czując gwałtowny przypływ strachu przed czymś, co kryje się za czarną zasłoną niepamięci. Nieznajoma skręca ku mnie i przyspiesza, a ja gorączkowo kombinuję, co mam jej powiedzieć, skoro nie wiem, ani kim jestem, ani skąd się tu wziąłem. Ale niepotrzebnie się martwię, bo sama wybawia mnie z kłopotu.

– O mój Boże, panie Maclean, co się panu, na litość boską, stało?

A więc już wiem, kim jestem. Nazywam się Maclean, a ona mnie zna. Ogarnia mnie chwilowe uczucie ulgi, choć dźwięk mojego nazwiska niczego we mnie nie porusza. Odzywam się i po raz pierwszy słyszę swój głos: wysoki, ochrypły i tak stłumiony, że prawie niesłyszalny, nawet dla mnie.

– Miałem wypadek na łodzi. – Słowa same wymykają mi się z ust, a ja od razu zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle mam jakąś łódź.

Kobieta jednak nie okazuje zdziwienia. Chwyta mnie za rękę i zaczyna ciągnąć.

– Boże święty, człowieku, przeziębi się pan na śmierć. Odprowadzę pana do domu.

Jej jazgotliwy psiak tak radośnie mnie obskakuje, że niemal się przewracam. Kobieta krzyczy na niego, ale on nie zwraca na nią najmniejszej uwagi. Słyszę, że coś mówi, z jej ust płyną jakieś słowa, ale utraciłem zdolność koncentracji i równie dobrze mogłaby mówić po rosyjsku, bo nic nie rozumiem.

Mijamy bramę cmentarza i wchodzimy na lekkie wzniesienie, skąd roztacza się widok na plażę, na którą wyrzuciły mnie fale przypływu. Jest naprawdę ogromna; w srebrzysty piach wrzynają się turkusowe zatoczki, plaża ciągnie się aż po pasmo wzgórz zamykających południowy horyzont. Niebo jest teraz bardziej urozmaicone i suną po nim chmury w różnych barwach, od bieli przez szarość po ciemny ołów. Wiatr pędzi je z dużą szybkością, a one rzucają ruchome cienie na srebrzysty piasek.

Za cmentarzem zatrzymujemy się na kawałku asfaltu, który schodzi między dwa przekrzywione słupki z kratownicą przeciwko bydłu i prowadzi do parterowej chałupy, sterczącej dumnie między piaszczystymi wydmami. Na przymocowanej do słupków tablicy z wypolerowanego drewna widnieje wypalony na czarno napis: Chata na Wydmach.

– Mam z panem wejść? – słyszę pytanie kobiety.

– Nie, bardzo dziękuję, wszystko w porządku.

Ale wiem, że nic nawet w przybliżeniu nie jest w porządku. Jestem tak przemarznięty, że czuję, że gdybym przestał dygotać, mógłbym zapaść w sen, z którego już nigdy bym się nie obudził. Ruszam chwiejnym krokiem w stronę wejścia, czując na sobie podejrzliwy wzrok kobiety, ale się nie odwracam. Za furtką z kołowrotkiem w ogrodzeniu odchodzi w bok ścieżka do czegoś w rodzaju stodoły, na wprost biegnie podjazd, który kończy się na wysokości podmurowanej szopy

ogrodniczej z jednej strony i stojącej po drugiej stronie chaty, ustawionej do niego bokiem.

Biały kuc górski, który skubie rzadką trawę za ogrodzeniem, unosi łeb i przygląda się z zaciekawieniem, jak gmeram w mokrych kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Jeśli to mój dom, powinienem chyba mieć do niego klucze, nie? Ale w kieszeniach niczego nie znajduję, więc naciskam klamkę. Drzwi nie są zamknięte; uchylam je i niemal zwala mnie z nóg czekoladowy labrador, który rzuca się na mnie z głośnym szczekaniem. Jego oczy iskrzą radością, zęby błyskają w uśmiechu, pazury przednich łap wczepiają się w mój sweter, jęzor liże mi twarz.

Po czym pies puszcza się pędem, wypada przez furtkę i zaczyna buszować wśród wydm. Wołam za nim „Musli! Musli!" i słucham własnego głosu, jakby należał do kogoś innego, po czym nagle do mnie dociera, że znam jego imię. Zapala to we mnie iskrę nadziei, bo skoro tak, to za chwilę może sobie przypomnę całą resztę.

Musli ignoruje moje nawoływania i znika wśród wydm. Ciekawe, jak długo mnie nie było i ile czasu przesiedział zamknięty w domu. Spoglądam na wyasfaltowany placyk na końcu podjazdu pod domem i nagle zdaję sobie sprawę, że nie stoi na nim żaden samochód, co na takim pustkowiu wydaje się bardzo dziwne.

Ogarnia mnie znów fala mdłości i uzmysławiam sobie, że muszę jak najprędzej rozgrzać się od środka. A przede wszystkim zrzucić z siebie te mokre ciuchy.

Wchodzę do czegoś, co wygląda na pomieszczenie gospodarcze. Pod oknem i blatem roboczym stoją pralka i suszarka, z obudowy kotła centralnego ogrzewania dobywa się ciche bzyczenie. Na prawej ścianie pod wieszakiem z marynarka-

mi i kurtkami stoi drewniana ława, a pod nią ciągnie się rząd roboczych buciorów i gumiaków; na podłodze leżą grudy zaschniętego błota. Ściągam z nóg mokre trampki, zdzieram kamizelkę ratunkową i chwiejnym krokiem ruszam w stronę kuchni. Otwieram drzwi, opierając się na klamce.

To najdziwniejsze uczucie pod słońcem – wchodzić do pomieszczenia, o którym się wie, że to twój dom, i nie znajdować w nim żadnej znajomej rzeczy. Po lewej ciągnie się blat kuchenny i rząd szafek. Dalej zlew i płyta grzejna, kuchenka mikrofalowa i elektryczny piekarnik. Na przeciwległej ścianie pod oknem, przez które roztacza się panoramiczny widok na plażę, stoi stół kuchenny zarzucony starymi gazetami i listami. Na środku leży laptop, otwarty, ale uśpiony. Wśród tych rzeczy na pewno znajdę odpowiedź na pytanie, kim jestem, lecz teraz mam pilniejsze sprawy na głowie.

Napełniam elektryczny czajnik i włączam go, po czym przechodzę łukowatym przejściem do pokoju z podwójnymi drzwiami wychodzącymi na drewniany taras ze stołem i kilkoma krzesłami; za nim roztacza się oszałamiający widok. Przez okrągłe okienko w bocznej ścianie widać cmentarz. W rogu pokoju stoi piecyk na drewno. Przy dwóch dwumiejscowych skórzanych kanapach jest stolik ze szklanym blatem. Przez otwarte drzwi widać korytarz biegnący przez całą długość domu. Drzwi po prawej prowadzą do dużej sypialni z niepościelonym łóżkiem. Wchodzę do środka i znajduję stertę męskiej – zapewne mojej – odzieży na krześle. Za kolejnymi drzwiami na wprost mieści się łazienka z prysznicem i już wiem, co muszę teraz zrobić.

Drżącymi palcami wyplątuję się z mokrych ciuchów, zostawiam je stłamszone na podłodze i na chwiejnych nogach wchodzę do łazienki.

Woda w prysznicu bardzo szybko się nagrzewa i po wejściu niemal się przewracam pod ogarniającą moje ciało falą gorąca. Rozkładam ręce, dociskam dłonie do kafelków i zamykam oczy. Jest mi słabo i ledwo wytrzymuję napór wody lejącej się na głowę, ale po chwili czuję, jak gorąco zaczyna przenikać wprost do mojej duszy.

Nie wiem, jak długo tam stoję, lecz w miarę jak robi mi się coraz cieplej i przestaję dygotać, ogarnia mnie ta sama ciemna chmura przygnębienia, która tak mnie przytłoczyła na plaży. Mam świadomość czegoś strasznego i wykraczającego poza zdolność pojmowania. Towarzyszy temu paraliżujący strach, że nadal nie wiem, kim jestem ani nawet jak wyglądam.

Wychodzę spod prysznica i energicznie wycieram się w ogromny puszysty ręcznik kąpielowy. Lustro nad umywalką jest zaparowane, więc moja twarz jest w nim tylko różową rozmytą plamą. Wkładam wiszący na drzwiach szlafrok frotté i wracam do sypialni. W domu panuje upał i duchota, podłoga pod stopami jest ciepła. Ciepło rozchodzi mi się po całym ciele i w różnych miejscach zaczynam odczuwać ból. Mięśnie ramion, nóg i klatki piersiowej są zesztywniałe i obolałe. Rozglądam się w kuchni za kawą i znajduję słoik rozpuszczalnej. Wsypuję dwie łyżeczki do kubka i zalewam wrzątkiem z czajnika. Na półce stoi słoik z kostkami cukru, ale nie wiem, czy pijam kawę z cukrem, czy bez. Siorbię gorący brązowy płyn, niemal parząc sobie usta. Smakuje mi, więc chyba nie słodzę.

Niemal ze strachem wracam z kawą do sypialni, stawiam kubek na toaletce, zrzucam z siebie szlafrok i stanąwszy przed lustrem na drzwiach szafy, przyglądam się odbiciu kompletnie obcego mężczyzny.

Nie potrafię znaleźć słów na oddanie przedziwnego uczucia, jakie towarzyszy patrzeniu na siebie w lustrze i niepozna-

waniu się. To tak, jakby się stało obok cudzego ciała, które tylko się zamieszkuje. Jakbym je pożyczył albo ono pożyczyło sobie mnie, ale wzajemnie do siebie nie należymy.

Nic we mnie nie wygląda znajomo. Włosy mam ciemne i choć są niezbyt długie, mocno się kręcą, a ich wilgotne loki oblepiają mi czoło. Mężczyzna w lustrze patrzy na mnie lodowatoniebieskimi oczami i jest dość przystojny, jeśli w tej sytuacji można w ogóle mówić o obiektywnej ocenie. Ma nieco podwyższone kości policzkowe i dołek w brodzie, usta blade, ale dość pełne. Próbuję się uśmiechnąć, lecz w moim grymasie nie ma cienia humoru. Ukazuje natomiast zdrowe białe zęby i zaczynam się nawet zastanawiać, czy nie używam wybielacza. Czy to znaczy, że jestem próżny? Skądś, nie wiadomo skąd, pojawia się nagle obraz kogoś pijącego kawę przez słomkę w obawie przed zabarwieniem idealnie białych zębów, które od wybielacza stały się porowate. Ale to może być ktoś, kogo znam albo widziałem w jakimś filmie lub o kim czytałem.

Jestem szczupły i wyglądam na wysportowanego, z lekkim tylko zaokrągleniem w pasie. Penis wisi sflaczały i przeraźliwie mały i mogę mieć tylko nadzieję, że się tak skurczył od zimna. I nagle dostrzegam uśmiech na twarzy, tym razem całkiem szczery. A więc jestem próżny. A może tylko niepewny swej męskości. Jakie to dziwne – nie znać samego siebie i musieć wszystkiego się domyślać. Nie tego, jak się nazywasz czy jak wyglądasz, ale spraw zasadniczych. Jestem mądry czy głupi? Czy łatwo mnie zdenerwować? Czy bywam zazdrosny? Mam szeroki gest czy jestem samolubny? Jak można nie wiedzieć takich rzeczy o sobie?

A co do wieku… Na litość boską, ile ja mam lat? Jak trudno to określić. Widzę pierwsze ślady siwizny na skroniach

i drobne zmarszczki pod oczami. Trzydzieści kilka? Czterdzieści?

Na lewym przedramieniu mam bliznę, niezbyt świeżą, ale wyraźną. Dawne zranienie. Ślad po jakimś wypadku. Na głowie jest świeże skaleczenie i moje ciemne włosy nasiąkają krwią. Także na dłoniach i przedramionach widzę liczne krwawe ślady ze strupkami. Jakby mnie coś pogryzło. Ale ani mnie te miejsca nie bolą, ani nie swędzą.

Z zadumy wytrąca mnie szczekanie za drzwiami. Musli wrócił z wycieczki na wydmy. Wkładam szlafrok i idę mu otworzyć. Radośnie na mnie skacze, ociera się o nogi i trąca nosem dłonie, domagając się pieszczoty i poczucia bezpieczeństwa. Uświadamiam sobie, że musi być głodny. W przedsionku znajduję blaszaną miskę i napełniam ją wodą. Pies chłepce ją z zapałem, a ja wyruszam na poszukiwanie czegoś do jedzenia. W końcu w szafce pod zlewem znajduję torbę suchej karmy o barwie ochry i jeszcze jedną miskę. Musli, zwabiony znajomym odgłosem karmy sypanej do miski, przybiega do kuchni i wyczekująco węszy. Stawiam miskę na podłodze i przyglądam się, jak z entuzjazmem zabiera się do chrupania.

Przynajmniej mój pies wie, kim jestem. Zna mój zapach, dźwięk mojego głosu, wyraz twarzy. Ale od jak dawna? Wygląda młodo. Ma najwyżej dwa lata. Czyli nie jest u mnie zbyt długo. Gdyby nawet umiał mówić, cóż mógłby o mnie powiedzieć? O mojej przeszłości, moim życiu, zanim się w nim pojawił?

Raz jeszcze się rozglądam. A więc tu mieszkam. Na ścianie w głębi kuchni wisi mapa archipelagu wysp, w których rozpoznaję Hebrydy Zewnętrzne, u wybrzeży Szkocji. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiem. Czy właśnie tu jestem? Na tych wysmaganych sztormami wysepkach na północno-zachodnim krańcu Europy?

Ze stosu papierów na stole wygrzebuję kopertę, którą wcześniej ktoś rozerwał. W środku jest rachunek za prąd. Rozprostowuję go i widzę, że jest zaadresowany do Neala Macleana, Chata na Wydmach, Luskentyre, wyspa Harris. Za jednym zamachem poznaję swoje pełne nazwisko i adres.

Siadam przed laptopem i dotykam palcami touchpada, by wytrącić go z letargu. Pulpit jest zupełnie pusty i widnieje na nim tylko ikonka twardego dysku. Otwieram program poczty i okazuje się, że nie ma żadnych maili, nawet w zakładce USUNIĘTE. Folder DOKUMENTY też jest pusty, podobnie jak KOSZ. Jeśli to naprawdę mój komputer, wygląda na to, że nie zostawiłem po sobie żadnego śladu. I jest coś dziwnego w niemal drażniącym wzrok podświetleniu ekranu. Zamykam pokrywę z postanowieniem, że jeszcze do tego wrócę.

Moją uwagę przyciągają rzędy książek na etażerce pod mapą. Sztywno wstaję z miejsca i idę tam, by się przyjrzeć. Na górnej półce same encyklopedie i słowniki: oksfordzki słownik języka angielskiego, słownik synonimów, wielotomowa encyklopedia, słownik cytatów. Na niższych półkach rzędy tanich wydań kieszonkowych. Kryminały, romansidła, wegetariańskie książki kucharskie, kuchnia północnych Chin. Stronice mocno „zaczytane" i pożółkłe. Ale coś mi mówi, że te książki nie są moje. Na najwyższej półce widzę kilka tomów w twardych oprawach, wyglądających na dużo nowsze. Historia Hebryd. Album fotograficzny zatytułowany po prostu *Hebrydy*. Leży tam też kilka map i prospektów turystycznych, a także broszurka o intrygującym tytule *Tajemnica Wysp Flannana.* Przenoszę wzrok na mapę i błądzę nim wzdłuż poszarpanej linii brzegowej archipelagu Hebryd Zewnętrznych. Chwilę trwa, nim je odnajduję, ale w końcu mam: Wyspy Flannana. Jakieś trzydzieści, może trzydzieści

pięć kilometrów na zachód od wyspy Lewis i Harris i kawał na północ od St Kilda. Grupka maleńkich wysepek na przestworzu oceanu.

Powracam wzrokiem do broszury, którą wciąż trzymam w ręce, i zaczynam czytać wstęp.

> *Wyspy Flannana, nazywane niekiedy Wyspami Siedmiu Łowców, stanowią grupkę wysepek położonych około 32 kilometrów na zachód od wyspy Lewis. Swą nazwę zawdzięczają kaznodziei z VII wieku, świętemu Flannanowi. Od roku 1971, kiedy zautomatyzowano latarnię morską na Eilean Mòr, największej z wysepek, pozostają niezamieszkane. Wiąże się z nimi niewyjaśniona do dziś tajemnica zniknięcia w grudniu 1900 roku wszystkich trzech latarników.*

Raz jeszcze przyglądam się mapie. Wyspy wyglądają jak kropeczki zagubione na ogromnym oceanie i aż trudno mi wyobrazić sobie życie, kiedy całymi tygodniami, jeśli nie miesiącami, człowiek jest skazany na kontakt wyłącznie z dwoma kolegami latarnikami. Wyciągam dłoń i dotykam drżącymi koniuszkami palców mapy, jakby papier mógł mi coś przekazać przez dotyk. Ale nie czuję żadnego przekazu. Opuszczam rękę, wodzę wzrokiem po południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy Harris i odszukuję Luskentyre i żółtą kreseczkę plaży o nazwie Tràigh Losgaintir. Poniżej znajduje się cieśnina Taransay i wysepka o tej samej nazwie; to jej góry widziałem w oddali, robiąc pierwsze kroki po plaży.

Jakim cudem się tam znalazłem? Kamizelka ratunkowa, którą miałem na sobie, sugeruje, że wypadłem z łodzi i przypływ wyrzucił mnie na brzeg. Ale dokąd płynąłem? I co się

stało z łodzią? Czy byłem na niej sam? Do głowy ciśnie mi się tyle pytań, że odwracam się od mapy, a czaszkę wypełnia pulsujący ból.

Musli siedzi w łukowatym przejściu i nie spuszcza ze mnie wzroku. Widzi, że na niego patrzę, i zachęcająco podrywa łeb, ale moją uwagę przyciąga widok butelki whisky, która stoi na blacie. Kilka centymetrów bursztynowego płynu skupia w sobie światło padające z okna i jakby lśni wewnętrznym blaskiem. W szafce na ścianie znajduję szklankę i nalewam sobie na dobre trzy palce, po czym bez wahania dodaję trochę wody z kranu. A więc tak lubię swoje *uisge beatha*. Całkiem przypadkiem czegoś się o sobie dowiaduję. Łącznie z tym, że wiem, jak jest whisky po gaelicku.

Smakuje cudownie, rozgrzewa, pachnie dymem i jest lekko słodkawa. Spoglądam na etykietę. Caol Ila. Wyspiarska whisky o słomkowej barwie i torfowym posmaku. Zabieram szklankę i butelkę do pokoju, stawiam butelkę na stoliku, podchodzę do drzwi na taras i wpatruję się w piasek plaży i sunące po nim plamy cienia rzucanego przez szybko przesuwające się chmury. Moją uwagę przyciąga błysk światła na przeciwległym brzegu. Odblask promieni słonecznych od szkła. Uświadamiam sobie, że kręcąc się po domu, widziałem na półce lornetkę. Unoszę ją do oczu, chwilę się z nią zmagam, ale w końcu go widzę: ktoś obserwuje mnie z tamtego brzegu. Ten sam człowiek, którego zauważyłem wcześniej z plaży. Teraz już nie mam wątpliwości, że to mężczyzna. Widzę go całkiem wyraźnie. Ma długie, powiewające na wietrze włosy i krzaczastą brodę na kościstej, odpychającej twarzy. Stoi z lornetką zwróconą w moją stronę i przygląda się, jak ja przyglądam się jemu.

Wciąż jeszcze lekko drżę, więc trudno mi utrzymać ostrość obrazu. Ale i tak widzę, jak w końcu opuszcza lornetkę

i wchodzi do stojącej za nim przyczepy. Na dachu pojazdu sterczy talerz satelitarny i coś przypominające niewielki maszt radiowy. Przesuwam lornetkę w lewo i dostrzegam poobijanego land rovera z brezentowym dachem. Samochód i przyczepa stoją na kawałku lądu nazywanym przez miejscowych *machair* – żyznym, ciągnącym się wzdłuż brzegu wyspy trawiastym pasie ziemi, który wiosną pokrywa się kobiercem polnych kwiatów i dzięki któremu mięso pasących się na nim owiec ma jedyny w swym rodzaju smak, niewymagający solenia.

Odkładam lornetkę na półkę nad piecykiem, unoszę szklankę i moszczę się na kanapie z widokiem na plażę. Ciekawe, która może być godzina. Trudno powiedzieć, czy jest przed południem, czy po popołudniu. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że nie mam zegarka. Ale jaśniejszy pasek na ogorzałym od słońca lub wiatru nadgarstku świadczy o tym, że zwykle go noszę.

Słońce świeci teraz prosto na mnie i czuję jego ciepło na stopach i nogach. Sączę powoli zawartość szklanki, Musli układa się obok mnie i kładzie mi łeb na kolanach. Machinalnie drapię go za uszami i głaszczę po karku, sprawiając tym przyjemność nam obu. I nawet nie pamiętam momentu dopicia whisky.

ROZDZIAŁ 2

Nie wiem, jak długo spałem. Świadomość powraca z głębokiego uśpienia bez żadnych snów, a wraz z nią fizyczny ból w sponiewieranym ciele oraz pamięć o tym, że nic nie pamiętam. O sobie, o tym, co się ze mną działo przez ostatnie godziny, nim morze wyrzuciło mnie na Tràigh Losgaintir.

Ale czuję też niepokój, jakby mnie coś nagle obudziło. Serce mi wali i uświadamiam sobie, że słońce już zaszło za wzgórza na zachodzie, barwiąc je różową poświatą kończącego się dnia. Obudził mnie jakiś dźwięk. Musli też podniósł łeb i węszy, lecz nie wygląda na zaniepokojonego.

– Neal?! – woła ktoś z przedpokoju.

Jakaś kobieta. Ale nie jest sama, bo w tle słyszę też męski głos. Przybysze zamknęli już za sobą drzwi wejściowe. Zrywam się na równe nogi; pusta szklanka po whisky toczy się po podłodze. Musli podnosi się i patrzy na mnie wyczekująco.

Zanim otwierają się drzwi do kuchni, szybkim krokiem przemierzam przedpokój i wpadam do sypialni.

– Neal, jesteś w domu?!

Są już w kuchni. Nerwowo grzebię w stercie odzieży w poszukiwaniu dżinsów i przeskakując z nogi na nogę, wsuwam

stopy w nogawki, przysiadam na łóżku i wciągam spodnie na biodra.

– Już idę! – wołam i wkładam przez głowę T-shirt. Nie mam czasu na szukanie skarpetek i butów. Idąc do drzwi, rzucam okiem na swoje odbicie w lustrze. Twarz mam bladą mimo opalenizny, kręcone włosy sterczą na wszystkie strony.

Goście są już w pokoju. Najwyraźniej jacyś moi znajomi, mimo to widok żadnego z nich nic mi nie mówi.

Oboje są młodsi ode mnie. Pod trzydziestkę, może nieco po. Mężczyzna jest blondynem, ma włosy krótko przycięte po bokach, nieco dłuższe na górze i zaczesane na żel z niskiego czoła. Jest przystojny i świadomy swego wyglądu. Krótko przycięta broda – choć nie na długość modnego kilkudniowego zarostu – zdobi szczupłą twarz o zielonych oczach w kształcie migdałów. Nie mam wątpliwości, że jego bluza z kapturem jest dobrej marki, podobnie jak idealnie leżące dżinsy i olśniewająco białe adidasy, które wyglądają jak dopiero co wyjęte z pudełka. Trzyma ręce w kieszeniach bluzy, przez co jest lekko przygarbiony, ale po ramionach i wąskich biodrach widać, że jest dobrze zbudowany. Uśmiecha się do mnie pogodnie i zaraźliwie serdecznie.

– Rany boskie – mówi, wskazując głową drzwi sypialni. – Masz tam jakąś babę, czy jak? Mam nadzieję, że nie przeszkodziliśmy ci w niczym.

Mówi z zupełnie innym akcentem niż ja. Kogoś z północy Anglii, ale wykształconego. Typowego przedstawiciela klasy średniej. Na moje wyczucie absolwent szkoły prywatnej, nie państwowej.

– Przepraszam – bąkam i przegarniam dłonią włosy. – Spałem.

Mój głos w porównaniu z jego brzmi dość chrapliwie. Mó-

wię ze szkockim akcentem, ale nie wyspiarskim. Raczej ze środkowej Szkocji.

– No ładnie! – Kobieta parska śmiechem. – Najpierw zaprasza nas na drinka, a potem wali się do łóżka. – Mówi z akcentem podobnym do swojego towarzysza, ale nieco wyraźniejszym. Ma miły, łagodny głos, lecz niezupełnie czysty. Jakby miała lekką chrypkę, co brzmi seksownie. Jest piętnaście centymetrów niższa od niego, mimo to nadal dość wysoka. Ma pewnie z metr siedemdziesiąt wzrostu. Krótkie, po chłopięcemu obcięte kasztanowe włosy okalają niemal cherubinkowatą twarz. Głęboko osadzone brązowe oczy są podkreślone rudawobrązowymi cieniami. Wargi lekko maźnięte szminką. Jest szczupła, na prostych ramionach wisi mocno znoszona skórzana kurtka lotnicza; do tego ma biały T-shirt i modne luźne dżinsy. – Nie widzieliśmy pod domem samochodu i pomyśleliśmy, że może cię nie ma.

A więc mam samochód, tylko nie wiem, gdzie może teraz być. I nagle nachodzi mnie chęć wyznania im wszystkiego. Czyli niewiele. Tylko tyle, że zostałem wyrzucony przez morze na brzeg i nie wiem, kim jestem. Oni mnie znają, więc będą mogli mi coś więcej powiedzieć. Boję się jednak, że to doprowadzi do nazwania tej czarnej chmury, która wisi nade mną i wywołuje we mnie takie straszne przygnębienie. Boję się tego, co w sobie kryje. Zdarzeń wymazanych z pamięci, do których może nigdy nie będę chciał się przyznać. I dlatego mówię tylko:

– Zapomniałem.

– Sally dokładnie tak powiedziała. Powiedziała: „Po prostu zapomniał” – mówi mężczyzna, bardzo udatnie imitując jej akcent.

– To co zrobiłeś z samochodem? – pyta Sally.